



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

UMARŁEJ.

Dziś mi mówiono, że spoczęłaś w grobie,
W tym śnie, z którego żaden głos nie budzi;
Że nikt już, biedna, nie płacze po tobie,
Nikt nie pamięta wśród żyjących ludzi.

Na dźwięk bolesny wieści niespodzianej,
Z ducha mojego mogiły zamkniętej
Powstał twój obraz promienny i święty—
Tak w niepamięci dawno pogrzebany!

Tobie, coś, w jasne życia mego rano,
Była młodości piosenką wiosnianą,
Po której dotąd echo nie przebrzmiało,
Rzucam pieśń, z gruzów wspomnień zmar-
[twychwstała.

Bo cóż ci więcej; to serce dać może,
Jak nie pieśń, którąś sama w niem stworzyła?
Może w tej pieśni wstanie taka siła,
Że twój zapadły grobowiec otworzę—

I może postać twoja cicho wstanie,
Ujrzę twe oczy i głos twój usłyszę...
Pójdziemy duchem w to błogie zacisze,
Gdzieśmy dni młodych spędzili zaranie...

Gdzie mnie ujrzałaś chłopięciem nieśmiałym,
Gdzie czytałaś jasno w twych źrenic błękitach
To, co mi nowe otworzyło życie;
Gdzie z snów dziecięcych młodzieńcem po-
[wstałem.

Ach! oczy twoje!—Marzące pachole,
Poezyi słodkie zabrawszy z nich czary,
Poszło wśród ludzi, z zadumą na czole,
Z piosnką na ustach, i z potęgą wiary.

O! jam je długo widział w życia wiosnie,
We śnie marzenia oglądał radośnie...
A dzisiaj... płaczę, bo te twoje oczy
W ponurym grobie nędzny robak toczy.

Mijały lata... w życiu spowszedniałem,
Dawno już, dawno ciebie nie widziałem,
I zwolna zimne zapomnienia dłonie
Skryły twą postać w mgły szarej osłonie...

I czasem tylko, bywało, popieszczę
Serce nadzieją: wszak ujrzę ją jeszcze!
Aż oto nagle nad duszą zbolała
Ponure słowo *nigdy!* mi zagrzmiało.

O! *nigdy! nigdy!*—wszak to straszne słowo,
Które otwiera nam pustkę grobową!
O! *nigdy! nigdy!*—wszak słowo to wieści,
Jak nieskończoność, jęk wiecznej boleści!

Ach! *nigdy! nigdy!*—z dźwięków ludzkiej mowy,
O, najczarniejsze z niego smutki wieją,
Bo uderzeniem siły piorunowej
Nazawsze każe zegnać się z nadzieją!...

Więc, gdym usłyszał już straszne te dźwięki,
Całą mą młodość w ich bólu zagrzebię!
Lecz smutne echo tej mojej piosenki
W nieskończoności... czy doścignie ciebie?...
Antoni Pilecki.

BYRON.

(Dalszy ciąg).

Z Albanii skierował się Byron do Grecyi. Zawitał najpierw do Missolonghi, gdzie miał w kilkanaście lat później śmierć znaleźć. Jako poeta, doznał szlachetnego wzruszenia na polach Maratonu. W Atenach bawił prawie dwa miesiące. Z Pyreusu puścił się na morze. Poznał rozkoszne Cyklady i zawinął do Smyrny. Tu (w Kwietniu 1810 r.) napisał drugą pieśń *Childe-Harolda*; w Londynie tylko dodał ostatnie strofy. Przebiegł pobrzeże Azji Mniejszej, zwiedził miejscowość Troi, a zazdroszcząc sławy starożytnemu kochankowi „choć go na brzegu żadna nie powitała Hero”—jak mówi jeden z biografów—d. 3 Maja 1810 r. w ciągu 70 minut, wszsz całą Cieśninę Dardaneelską pomiędzy Sestos a Abydos przepłynął. Dotykając stopą swoją poświęconego gruntu dziejów greckich, rozbudzał w sobie cześć dla wielkości historycznych i nastrajał umysł swój na ten wzniosły ton, jaki w jego poemacie panuje. Oderwawszy się od swego dawnego towarzystwa, teraz, jak orzeł samotny, mógł po przestworach szybować. Nigdy muza Byrona nie doznała tak czystego natchnienia, jak wtedy, kiedy spisywał poetyczne wrażenia swej podróży; pod tym względem dwie drugie pieśni, obejmujące już późniejsze podróże, stoją jeszcze wyżej od pierwszych. Pozornie, dla ograniczonej, krótkowidzącej krytyki, *Childe-Harold* jest tylko samym Byronem, w dany sposób zindywidualizowanym; ale kto się własnego sądu nie zrzeka, ten po przeczytaniu poematu dojdzie do przekonania, że nie Byron, ale niepodległy umysł ludzki, czuły na wielkie radości

wielkie bóle ogromu żyjącego w historii przebiega opisywane miejsca świętych wspomnień i opowiada swe wędrówki po obszarze, przeszłości raczej, niż teraźniejszości. Ironia i cynizm skąpy tylko dostają tu żer; panującym tonem w poemacie jest smutek nieosobisty, jest *sui generis* uczucie, któreby melancholią rozumu nazwać można. Stosuje się to zwłaszcza do pieśni trzeciej i czwartej.

Oczywiście, był poeta-lord i w Stambule, i to dwoma powrotami. Ztamtąd zrobił wycieczkę na Morze Czarne. Przebywając w najpierwszych towarzystwach, zasłyszał wiele podań poetycznych, poznawał treść i zewnętrzną zjawiskowość życia Turków i Greków. Na morzu, które w Aberdeen, jeszcze dzieckiem będąc, umiłował, dochodziły do niego opowiadania o korsarzach, o patryotach greckich z końca XVIII w., jak Lambro, jak Ryga. Poznanie natury zewnętrznej dało scenę dla wypadków i obrazów, które pamięć przekazywała już wyobraźni. Zetknięcie się ze Wschodem wprowadziło rzeczywistość na miejsce dziecięcej uludy, rozbudzonej przez wczesne czytanie powieści wschodnich. Wszystkie poemata *bajronistyczne*, wydane później po powrocie do kraju, poczęły się już pod właściwym swem niebem, na Wschodzie.

Ze Stambułu przybył Byron ponownie do Aten, ztamtąd zwiedził Attykę, a później Korynt, ztamtąd przebiegał Peloponez, gdzie był w odwiedzinach u Weleja-baszy. Po powrocie do stolicy Grecyi, dla spokoju, osiadł przy klasztorze Franciszkanów. Tu spisał piękne liryki, przeważnie kobiecie i miłości poświęcone, tu rzucił piorunujące „Przekleństwo Minerwy“ na Elgina, który właśnie wówczas rabował Grecyą z rzeźb Partenonu i innych pierwszorzędnych zabytków sztuki.

Kobieta była zawsze głównym przedmiotem życia i pieśni Byrona; odegrała też rolę i w jego podróży opisanej w *Childe-Haroldzie*. Na Malcie zapalił się poeta dla pani Spencer Smith, w Atenach kochał się w młodej Greczynce, która do poezyi jego, weszła, jako *Maid of Athen*, w rzeczywistości zaś była córką francuzkiego konsula i nazywała się Teresa Macri. Była to już piąta żręda miłości Byrona w życiu. Po Maniusi Duff, rozkochał się w swej kuzynce Małgorzacie Parker, którą mu śmierć zabrała; następnie, w piętnastym roku życia chciał, aby dwa lata od niego starsza Miss Marya Chaworth oczekiwała na niego. Teraz nowych dwóch miłości dostarczyła podróż.

Są w lirykach i w samej „Pielgrzymce“ ślady innych jeszcze stosunków serdecznych poety w pierwszym przedpodróżnym okresie życia. Byron uważał za miłość nawet i te szaleństwa, które wyprawiał w Newstead-Abbey, w doborowym towarzystwie godnych sobie hulaków, niekrepując się żadnymi względami, nawet obecnością matki. Przy zmysłowości swej natury, a poetycznej tęsknocie do ideału, nie miał w umyśle swoim zasad wystarczających do rozróżniania pojedynczych stanów i stopni swej wrażliwości. Dopiero dzisiaj krytyka, patrząca na życie jego swobodnym okiem, może i powinna oddzielać czyste ziarno od kąkolu, a poetyczne złudzenia uczuć od rzeczywistych szczerych pożarów ducha. Kąkole i złudzenia przeważają w całym tem życiu, a czar, jaki wywierał Byron na kobiety, był właśnie skutkiem tej przewagi: muchy lubią lecieć na lep. Zupełnie niezasłużonem jest zdanie o newsteadzkich wybrykach poety, jakoby chciał niemi zagłuszyć jęki zranionego serca. Czysty, głos do Thyrzy jest znacznie późniejszym, a sam sposób niby głuszenia uczuć wskazuje, że nie było co głuszyć. Nie żadne tam rozpacz, ale poręczność natury młodzieńczej, obdarzonej niezwykle żywym temperamentem—wydała z siebie te hulatyki, biesiady, dziwactwa, zdrożności, które wypełniały Byronowi lata 1806—1808. Zrozpaczone serce, przy takiej podniosłości umysłowej, nie potrzebowało zagłuszać się wrażeniami, zbieraniami przez najgorszą tylko młodość. Sczerzył żal po stracie jakiejś istoty ukochanej, mógł się obyć bez tego szubienicznego humoru, z jakim Byron i jego towarzysze poprzebierali się za

mnichów; mógł się obyć bez tego cynizmu, z jakim w refektarzu dawnego opactwa *good-fellows* podawali sobie kolejno czaszkę jakiegoś mnicha, wykopaną w ogrodzie, zapijając z niej drogiego burgunda. Dla nieszczęśliwej miłości i rozpaczliwym zbytecznym też był nagrobek położony psu newfoundlandzkiemu, w którym epigrafista żądał, aby go pochowano obok—jedynego przyjaciela, jakiego znalazł w życiu! Pomyślmy, że poeta miał wtedy lat osmnaście, że towarzyszy swych zdrożności przyjaciółmi nazywał, i że już świat cały za niegodny jego, Byrona uważał. Nie, w tem wszystkim, co się w Newstead odgrywało, mogło być wszystko — tylko nie żalność po utraconym, przez losy i śmierć bezwzględność wydartym ideałem kobiecym. Inaczej się kocha i inaczej żaluje.

Dopiero w Lipcu 1811 r. powrócił poeta do kraju. Prócz *Childe-Harolda* i *liryków* pozostały z podróży listy, ważne przy odtwarzaniu charakteru człowieka. Hobhouse opisał podróż na własną rękę w wydanem w r. 1814 opowiadaniu *Journey through Albania* etc. Do Newstead zapędziła Byrona wiadomość o niebezpiecznej chorobie matki. Złośnica zabiła się swoją złością. Syn, chcąc dom swój urządzić polordowski, skupywał i przysyłał rozmaite przepychy z kontynentu, nakazywał wykończenie robót na swój zapowiadany przyjazd. Pani Byron doglądała rzemieślników, a wpadłszy w gniew na jednego z nich, dostała konwulsyi. Syn zastał już trupa. Charakterystycznie objawił się żal synowski. Poeta siedział długo nad ciałem i łkał; do sługi domowej odezwał się: „Utraciłem jedyną przyjaciółkę.“ Było to wieczorem w dniu przybycia. Nazajutrz odbywało się wyprowadzenie ciała do Hucknall-Hill, gdzie chowano Byronów. Noc wystarczyła do takiego przytępienia żalości, że pogrzeb matki odbył się bez udziału syna. Childe Harold stał w bramie opactwa i patrzył na oddalający się orszak. Potem zawołał pania, kazał sobie podać rękawice do boxów i oddał się ulubionym ćwiczeniom narodowym. Do tej samej, którą teraz jedyną przyjaciółką swoją nazywał, w początkach podróży pisał: „Staraj się matka żyć w zgodzie z sąsiadami, bo wiesz o tem, żeś sekutnicą (*a vixen*).“ Jak na syna—to dość energicznie. Istotnie matki swej wcale nie kochał, co można ostatecznie wytłumaczyć, ale nie usprawiedliwić, jej charakterem nieznosnym, a nazywając ją jedyną przyjaciółką swoją dopuszczał się, jaknajczęściej w życiu, podstawienia: brał migotanie wyobraźni za ruch i czyn rzeczywistego uczucia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

ROZDZIAŁ II.

Wielcy ludzie—wielcy pracownicy.

Człowiek tyle wie, ile zapracuje.

Śty Franciszek z Assyżu.

Dzień jest niesłychanie długim dla tego, kto nie wie jak go spożytkować.

Goethe.

Żadna rzecz wielka nie była wielką odrazu.

De Maistre.

Cała cywilizacja, której używamy, jest owocem prac przeszłości. Wszystko co jest wielkiem w pojęciach, w moralności, w sztuce, w naukach:

stało się takim przez pracę tych, którzy nas poprzedzili na ziemi. Każde pokolenie przynosi swój zarobek do skarbcza przeszłości, i nagromadzona tak wiedza i nauka, dostaje się z procentem pokoleniom przyszłości.

Pracownicy myśli stanowią arystokracją pracy. Myśliciele są kapitalistami ludzkości i oni stają się wierzchołkami społecznymi, bo nie pieniądź, ani przywilej żaden, ale myśl i praca wyznacza nam górne stanowiska wśród świata i miłości w sobie zasadę władzy. Po wszystkie wieki i czasy ta najwyższa pracująca potęga stała na czele społeczeństw. Walczący z przeszkodami, zawałającymi im drogę; prześladowani, potępiani nieraz — nieraz jakoby w poniżeniu i rozsypaniu, wielkie duchy, wielkie umysły rządzą jednak światem. Sokrates, Platon, Descartes, dotąd żyją w filozofii; Homer, Wirgiliusz, Dante, Shakespear'e, a my dodajmy: Kochanowski, Mickiewicz, Słowacki w poezyi; Aristoteles, Galileusz, Kopernik, Newton w nauce, gdy współcześni im konsulowie, czy archonci — wielkorządcy wszelkiego rodzaju, gdzie są? — zapomniani!...

Wielcy ludzie Starożytności przez zrealizowane w pracy bogactwo umysłów swoich rozszerzyli dziedzictwo człowieka; włączając pracę swoją w ogólną działalność pokoleń, stali się dobroczyncami Ludzkości.

Dla pewnych ludzi praca stała się przez pragnienie wydania swoich myśli, dokonania swego dzieła, namiętnością, prawie że furją świętą. Widzieli przed sobą pole pracy tak szerokie, a życie tak krótkie, że nie mieli już żadnej chwili wolnej, bo każda miała przeznaczenie swoje i musiała coś przynieść. Praca stała im się potrzebną do szczęścia, a może nawet do ich istnienia, przeniknęła całą ich naturę. Bakon uważał pracę za klepsydre, mierzącą uchodzące życie; Michał Anioł doznawał prawdziwego głodu pracy. Mawiał, że młotek rzeźbiarza jest mu niezbędnie potrzebny do zdrowia i nieraz w nocy zrywał się, aby oglądać to, co w ciągu dnia wypracował. Nie spracował się jednak zanadto, bo pracował dłużej, niż inni, a on sam niezwykle długo trwającą zdolność swą do pracy przypisywał wielkiej powściągliwości życia. Gdy już przecięt pracować nie mógł, kazał się w krześle na kółkach zataczać do Belwederu, aby tam patrzeć na posągi. Gdy zaniewidział, wodził po nich rękami i czuł rozkosz w dotykaniu się ich kształtów.

Leonardo da Vinci był podobnie pracowity i na trud wytrzymały. Był rysownikiem planów, malarzem, rzeźbiarzem, chemikiem, mechanikiem, pisarzem, architektem, inżynierem — człowiekiem najrozleglejszego umysłu i może z najbardziej uniwersalnym geniuszem, jaki istniał kiedy na świecie. Tycyan pracował też do bardzo późnego wieku, nie słabnąc w zdolnościach swych do pracy, w twórczej swej sile; Vasari odwiedzając go już starcem w osmdziesiątym dziesiątym roku, zastał go z ołówkiem w ręku, a mistrz oddawał się jeszcze pracy przez lat 10.

Canova, gdy zmęczony już wiekiem i pracą, czuł się bliskim śmierci, żałował jednej tylko rzeczy, a to, że nie będzie już tworzyć więcej posągów piękna — „Dunque non fara più Venere...“

Van Dyke był również niezmięczonym w pracy, i tak się do niej czasem zapalał, że był zdolnym wciągu jednego dnia wykończyć cały portret. Teniers Młodszy tak wiele namalował, że wesoło dowodził, iż chcąc zebrać razem wszystkie jego obrazy, to jakkolwiek były one zwykle małych rozmiarów, potrzebaby wybudować na nie galeryą długą na dwie mile (francuzkie). Malował do lat osmdziesiąciu nic nie tracąc z siły talentu.

Joshua Reynolds, malarz angielski, podobnie był rozkochanym w pracy i sam mawiał o sobie, że pracował codziennie tak, jakgdyby był wyrobniikiem, potrzebującym zarobić na chleb. Codziennie od dziesiątej rano do czwartej popołudniu, przebywał w pracowni, nie popuszczając pędzla i było tak do sześćdziesiąciu sześciu lat, w którymto czasie choroba wytrąciła mu go z ręki. Siedział też, jak przykuty do domu, a gdy raz musiał na pewien czas wyjechać na wieś do przyja-

ciela, wrócił do pracy z nową poządliwością i mówił, że nie robiąc, doświadczał uczucia, jakby był pozbawiony naturalnego pożywienia.

Mikołaj Poussin mawiał, że w miarę wieku ogarniało go pragnienie przewyższenia dzieł swoich pierwszych i zyskania nowej, wyższej chwały, w czem Smiles widzi objaw wyższej i prawdziwej genialności, która tworząc w zapale, nigdy potem nie jest zupełnie zadowolona z dzieła swego, nie dosięgającego ideału, jaki sztukmistrz prawdziwy zawsze nosi w wyobraźni swojej. Kiedy flamandzki rzeźbiarz Duquesnoy usłyszał kogoś, unoszącego się w pochwałach nad posągiem, który właśnie wykończył, on przyiskajając ręką czoło, zawołał:—O! gdyby kto widział posąg, który jest tam...

Podobne niezadowolenie z dzieł swoich udreca pisarzów wyższego polotu, wyższego ideału piękna. Wirgiliusz poświęcił jedenaście lat życia tworzeniu *Eneidy* a gdy wykończył nareszcie to nieśmiertelne w literaturze świata żyjące dzieło, chciał je rzucić w ogień. Voltaire mówił, że ani jeden wiersz z tego, co napisał, nie podobał mu się nigdy, i dowodził, że najsubtelniejsze piękno wszelkiej poezji ulatnia się w chwili, gdy pióro przelewa ją na papier.

Gdyby te tylko dzieła zostały ogłoszone drukiem, z których prawdziwie wyżsi pisarze są rzeczywiście zadowoleni po napisaniu ich, literatura świata zbogacałaby wielce. Na zawsze stosować się to może do prawdziwie szlachetnych umysłów twórczych, co Pliniusz powiedział o poecie Timentusie, że czuć wyższość jego myśli nad wyrazami, w których je wygłasza, bo najwyższa sztuka nie może oddać tego, co jest treścią geniuszu.

Mickiewicz to samo powiedział o wyrazie miłosnych swych uczuć, przelanych w pisaną poezję, że „na papierze stygną...”

Poeta więc malujący ideały swoje; pisarz, który chce oddać to, co czuje i myśli, musi pracować nad formą, w którą ma to wcielić i wykazuje się to prawdą dla wielkich mistrzów słowa, że wielcy ludzie—to wielcy pracownicy! Aryost swoją sławną stanę, malującą burzę, napisał w sześćdziesiątu wariantach. Petrarca jeden jakiś wiersz pojedynczy przerabiał czterdzieści pięć razy. Każdy rękopis Tassa był prawie niemożliwym do odczytania przez mnóstwo poprawek i przekreśleń. Buffon główne dzieło swe: *Epoki natury*, pisał jedenaście, a Gibbon pamiętniki swe siedm razy i zostawił je nieskończone. Pascal jeden ze swoich *Listów Prowansalskich* przetwarzał sześćdziesiąt razy.

Bardzo wielka ludzi, zajmujących już poczesne miejsca w pracy obranego zawodu, nagle go zmienili, nie czując się dość zdolnymi w obranym kierunku i spostrzegając w sobie inne porwy i tęsknoty twórcze, w obec których nie straszyla ich praca nowego kształcenia się, nowego darcia się pod górę. Niezadowolenie z tego, cośmy już dokonali, jest wielką dźwignią dla ducha i istnieje też stara skandynawska saga, która tego dowodzi.

Był raz król i królowa, którym urodził się syn, a dwanaście wieszczek, zaproszonych na chrziny przybyło, każda z darem jakimś. Obdarowano chłopca bogato w piękność, w rozum, siłę, w przytomność umysłu i gdy otrzymał takich darów jedenaście,—rodzicom się zdawało, że już nie brakować mu nie może, że będzie to największy człowiek wśród ludzkości i ojciec nie puścił już dwunastej wieszczki, z darem *niezadowolenia*, to jest z darem tęsknoty, z darem pragnienia czegoś jeszcze, co osiągnięciem nie zostało—z pragnieniem doskonałości! Zamknięto drzwi przed tą wieszczką melancholijnego oblicza. Król i królowa byli bardzo miłym i dobrym chłopcem, wesołym i śmiałym, mocnym i dzielnym, zdolnym do wszystkiego, tylko, że nie zrodziło mu się w piersi żadne pragnienie rzeczy nowej i wielkiej, nie dokonał żadnego bohaterstwa czynu, nie podźwignął żadnej świętej sprawy—nie walczył za prawdę i sprawiedliwość uciśnioną—jednym słowem pozostał człowiekiem miernym, który nie miał w sobie zapалу cnoty, nie miał

uczucia wzniosłości, nie miał poezji, i ojciec gorzko żałował, że odpędził od niego wieszczkę smętną.

„Miłość i tęsknota, to dwa bieguny ludzkiego żywota”—woła nasz poeta i w tym dwuwierszu zamyka się cała filozofia postępu ludzkości w kierunku dobra i piękna.

Smiles przytacza długi szereg ludzi, których coś w nich skrytego—coś tęskniącego za szerszymi horyzontami życia, uczyniło wielkimi. Voltaire, Petrarca, Molière, Goldoni, zaczęli od zawodu prawnego i rzucili go. Zawód ten szlachetnym jest przeciwieństwem i ma przed sobą szerokie prace pole, ale w piersi ich mieszkano niezadowolenie z tego stopnia życia, na którym wieść mogliżne i użyteczne istnienie i porwali się na wyższy, gdzie znaleźli się we właściwym sobie żywiole.

General Jomini, ulubiony Napoleonowi I, historyk wojskowy, był w pierwszych latach swej młodości tandeciarzem, który sprzedawał stare suknie, a marszałek Jourdan—kramarzem, podobnie jak Cook, który terminował w tym zawodzie. Pezarro pał za młodu świnią. Bernardin de Saint Pierre, poetyczny autor *Pawła i Wirgini*, był początkowo inżynierem; Walter Scott adwokatem. Paweł de Kock pracował u bankiera i przerzucił się do literatury już około trzydziestu lat wieku, sam „nie wiedząc jak.” Rubens był paziem dworskim, Swedenborg pisarz mistyczny, najpierw górnikiem, potem profesorem mechaniki, potem inżynierem w kopalniach, aż zaczął odkrywać w koło siebie świat duchów. Picard astronom, zdobył sobie najpierw sławę jako ogrodnik księcia de Crequi. Duch techniczne, gdzie chce i tylko musi być silnym, aby chcenie swe przeprowadził, musi być nie leniwym i mocno przy pożądaniami swych stojącym.

Camoens, Cervantes, Dante, Descartes, Lopez de Vega, Śty Ignacy Loyola, byli żołnierzami, i w praktyce posłuszeństwa, cierpliwości, obowiązku i odwagi nabyli przymiotów, których potrzeba jest niezbędnie wielkim pisarzom, twórcom wielkich dzieł literackich: nauczyli się przez owe przymioty tego, że mogli być pracowitymi i w ten sposób rozwinieli w sobie nietylko te strony moralne, bez których nie może być wyższych uzdolnień naukowych, literackich, i artystycznych, ale potrafili zdobyć sobie wśród życia dość czasu na to wszystko. Nie dali się rozrywać światu i ludziom, nie dali się unosić wrażeniom, odciągającym ich na strony: umieli się skupić w sobie i stać mocno przy powziętem postanowieniu—wyrobili sobie charakter silny. Ludzie nauki, taksamo jak literaci, muszą niezbędnie posiadać go. Francuzki uczoney mąż hr. Lapepède, wziął sobie za godło: „Vivre c'est veiller...” Życie, które ma być życiem w wyższem tego słowa znaczeniu, musi być nieustannym czuwaniem nad sobą, i jakkolwiek arystokratyczne pochodzenie i wojskowa edukacja nie zdawały się kształcić w nim uczonego, został nim przez przymiot owej czujności, nie dającej nigdy zasypać w nim temu wewnętrznemu stróżowi, który pilnował jego czasu—pilnował jego samego, aby zdołał dokonać zamiarów swoich i spełnić obowiązki, nałożone na siebie przez przedsięwzięcie swoje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

I mąż i żona westchnęli z cicha. — Ekonoma nam, kochanku, nie potrzeba... — powtórzył p.

Michał bardzo łagodnie. Było to u niego nawykniem tak nazywać każdego; mówił tak do dziada po prośbie, do chłopca, który za interessem do dworu przyszedł i czapkę do kolan mu się kłaniał—do młodych sąsiadów, eleganckich paniczów z okolicy, a wiek jego dawał mu niejako pozwolenie na tę poufałość dobrotliwą, która odzwierciedlała jego przychylnę względem wszystkich usposobienie: życzliwość wogóle dla każdej istoty ludzkiej. Był takim poniekąd zawsze, był takim z natury, ale z wiekiem ta dobroć jego w nim wzrosła: przeszedł wiele zawodów, wiele kłamiwych uśmiechów nadziei i u końca drogi wyrobiło się w nim uczucie, jakgdyby wszystkich ludzi żałował, że żyć muszą i każde smutne, niepewne położenie budziło w nim litość. Stanisław przecież podobał mu się szczególnie, a gdy jeszcze imię jego usłyszał, uczuł żal, że mu nie po myśli odpowiedzieć musi. — Sam ja tu sobie starczę... — dodał, jakgdyby mu się z tego tłumaczył — starczę... starczę, jak mogę.

— Jabym drogich zasług nie żądał — rzekł Stanisław. — Byle kawałek chleba i na but, to mi już dość będzie... Z daleka przyjechałem i kąta sobie szukam. Nie znam tu nikogo...

Że mówił po połowie prawdę, wyraz jej w dźwięku jego słów był i staruszek się wzruszył.

— To ci będzie trudno, kochanku, będzie ci trudno...—zawołał z uzaleniem.—Po coś się z tak daleka wyprawił i o tym czasie zwłaszcza? Każdy siedzi teraz, gdzie się dostał i miejsca nie zmienia...

— Żłem się obrachowałem...—odparł Stanisław, a głos jego bez udawania stawał się smutnym. Już go do tych dobrych ludzi serce ciągnąć zaczęło, już byłby rad wśród tej zacisznej zieleni odocząć i cel swój tu znaleźć. Wyjeżdżając z miasteczka układał sobie, że się tu choćby gwałtem wprosi, ale przez to właśnie, że doń tak dobrotliwie przemawiano, kłamstwo stawało mu się trudnym i ciężko mu było fałsz mówić. Podniósł też wzrok na p. Michała, poszukał nim pięknej staruszki, która między filarkami ganku stała i rzekł ze wzruszeniem, rzekł tak prosząco, jak syn, odzywający się do rodziców, że on nic zgola nie żądając, i tylko za kawałek chleba wiernie by służył. — Pracowałbym od rana do nocy... zakończył.

Teraz kobieta uczuła się wzruszoną, tkniętą w serce i myśl o synu mieszała się w to uczucie litości.—Mężu...—rzekła, ze schodków ganku schodząc i zbliżając się do rozmawiających—ludzie nieraz mówią, że wydołać ci jest trudno, że się męczysz z nadto. Miałybyś wyręczenie, którego ci potrzeba.

— Mnie go bardzo żal...—dodała z cicha, nachylając się do ucha mężowi.—Weż go choć czasowo, choć na jakies przytulenie niedługie... Stanisław!

— A tak... — odparł mąż też wzruszony — tak...

— Moja żona stronę waści bierze i mówi, że ci z oczu dobrze patrzy, żebyś mi się zdał—rzekł obracając się do Stanisława. — Może być, może być... ja już rzeczywiście na siłach teraz odpadam, tylko, że ciężkie czasy, jakoś źle rodzi... Żebyś miał, kochanku, darmo mi służyć, to o tem niema co mówić, ale wielkich zasług ci nie dam, bo nie mogę. Na małym musisz przestać, aż rozpatrzysz się po okolicy. Jak sobie coś lepszego znajdziesz, to cię zatrzymywać nie będę... Pójdiesz z Panem Bogiem i dobrem słowem, jeżeliś jest, jak ci to z oczu patrzy, dobry człowiek.

— Nie... nie... nie pójdę nigdzie, niczego innego szukać już nie będę!...—zawołał Stanisław, goręcej niż mu się to według jego roli godziło. — Będę tak wiernie służył, jak syn rodzicom, będę pracował. O świcie będę wstawał, będę się kładł o północy...

— A, kochanku, czyś ty przypadkiem nie Iskrzycki?—zawołał p. Michał, śmiejąc się.—Ale ci jakoś dyabeł z tą kołnierza nie wygląda i moja jejmość, która świętą jest, przeczulały go, gdyby tam siedział, a to ona przecież za tobą patrzy. Przytem przyznam ci się otwarcie, żeś nas

wała go życie takie, zaczęła go chwycić cześć i nuda. Gdyby był miał przed sobą pracę na chleb—walkę o byt, byłby to cel jakiś, jakiś bodziec, ale brakło mu i tego.

Nauka, którą go nakarmiono, wykazywała mu niezbić, czym jest w człowieku dziedziczność, wydając drugostronnie zaciętą walkę temu właśnie, co dziedzicznie odzywało mu się w piersiach. Jaki taki poniewierał to, szydził z tego, poniżał mu to w oczach i stał się człowiekiem, który nie śmie wierzyć w siebie, w porywy i natchnienia swoje i który też przez brak tej wiary nie umie sobie poszukać drogi właściwej, aż przyszła na niego choroba ludzi wykołejonych: kara życia niezajętego dostatecznie, które nie ma w sobie interesu wiążącego silnie — przyszła na niego potrzeba wrażeń!... I dlatego — dla wzruszeń i mocniejszego bicia serca w piersi, dla jego uderzeń żywszych, dał się porywać od czasu do czasu niedobremu wirowi świata i rujnował sobie życie, a ojciec, człowiek mocny, bo w harmonii wewnętrznej z ja swoim, nie mógł zrozumieć polowiczności syna i okazał się dlań surowym.

Stały wobec siebie dwie epoki, zrozumieć się nie mogące.

Ale pchnięcie bolesne, które młodzieniec otrzymał w serce samo, i które doszło tam aż do głębi, wyrwało go z błędnego koła upadków i żalów, powstawań i kolejnych osuwań się w dół. Zapomniał naraz o wszystkim, co dostał z zewnątrz i stał się samym sobą, odzyskał się, ale teraz on nie rozumiał ojca i dlatego postawił między nim a sobą dumę rozżalonego uczucia.

Przecież w obecnej chwili wszystko to opadło na dół i był jak człowiek, któryby się raz drugi na świat narodził. Stworzył sobie przyszłość nową wraz z nową osobą, w którą się wtelił, a los mu posłużył pomagając, znaleźć się w tem otoczeniu, które dało mu atmosferę ciepłą i łagodną.

Służył za syna starości ubogiej i samotnej i doświadczał wzruszenia tak miłego, jak człowiek zmęczony, gdy po drodze długiej pod upalnymi promieniami słońca, siądzie na kamieniu przydrożnym, w dobroczynnym cieniu drzewa, i obróci czoło za orzeźwiającem tchnieniem wiatru. Spać nie mógł, ale bezsenność nie ciążyła mu. Nie robił nawet żadnych planów, bo plan jeden i jedyne już był wykreślony: pracować, przerabiać się na człowieka nowego.

Kiedy miała w tem jego położeniu zająć zmianę jakaś?.. jeszcze o to nie pytał. Naturalną rzeczą było, że powrót tamtego Stanisława, którego zastępował, kładł kres jego tu pobytowi, bo potrzeba obecności jego usuwała się już wtedy. Co wówczas uczyni, gdzie skieruje kroki swoje? nie myślał. Przyszłość, to przestwór ciemny, bo pomiędzy nami i jutrem życia stanąć może w każdej chwili wypadek najmniej przewidziany. Człowiek nie wie tego nawet, czem sam będzie, jakie myśli przyjdą mu do głowy, jakie uczucia napłyną mu do serca i to tylko powinien sobie wziąć na pewność i spokój ducha, że zawsze i w każdym położeniu pozostanie uczciwym i wiernym swojej zasadzie życia. Stanisław błędził nieraz, ale nie przekroczył nigdy tej granicy, poza którą zaczyna się już podłość, zaczyna się już nikczemne padnięcie o ziemię i tego też nie bał się dla siebie. Co zaś zresztą... będzie, co Bóg da — co przyniesie los i życie. Nie mówił sobie tego, ale tak czuł. Teraz odpoczywał po odbytej drodze dużej i miał już wyznaczoną robotę, do której należy mu najpierw przyłożyć ręki. To była rzecz najważniejsza: utrwalać swój sposób życia.

Nie zapuścił firanek, a Hryciowi, ani przyszło do głowy, aby to była rzecz potrzebna dla pana *okunoma*, więc widział, jak ciemność krótkiej nocy letniej ustępowała z wolna przed światem dnia wschodzącego, jak światło podnosiło się, rosło, aż kula słońca: zrazu różowa, purpurowa potem, złota w końcu, weszła na niebiosa, a on usłyszał poczynający się w domu ruch i wstał do nowego swego istnienia.

P. Michała spotkał zaraz w ganku, gdy się ze swego pokoju wychylił. Stary też mało spał tej

nocy po dniu obfitym dla niego we wzruszenia. Prawie sobie wyrzucił przyjęcie Stanisława i obliczył koszty, jakie to za sobą pociągnie, ale rzecz już była skończona. — To tak... to tak... myślał — głupie to serce zawsze ludziami figle płać.

Ale uśmiechnął się do niego zobaczywszy i bynajmniej niefałszywie, lub dla konwensansu jakiegoś. — A jakżeś spał, kochanku? — zapytał do brotliwie. — Pewno dobrze, bo tylko starzy ludzie źle śpiąją. O... młodość to dobra rzecz...

Poprowadził go ze sobą, aby mu gospodarstwo pokazać i powiedzieć, czem się zająć powinien. Stanisław spostrzegł, że nie będzie spotykał się z wielkimi trudnościami w życiu względnie dla niego nowem. Gospodarstwo było prowadzone bardzo pierwotnie i on mógł tu jeszcze przedstawić postępy i wiadomości wyższe.

Ludzie widząc go przy boku p. Michała, widząc wysoką, piękną jego postać z układem szlachetnym, nie mogli go połączyć w pojęciu swym z innymi ekonomami, ciwnami okolicy i nie wiedząc jak go zwać, nazwali: „paniczem“ — nowym paniczem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

XLX.

Państwo Wackowie, komedia w 4 aktach, napisana przez Zygmunta Przybylskiego; pierwsze przedstawienie w Teatrze Rozmaitości d. 25 Lutego r. b.

Komedia ta jest dalszym ciągiem *Wicka i Wacka*. Nie zmieniły się osoby hultajów, zmieniły się tylko ich charaktery.

W przerwie pomiędzy jedną a drugą komedią szczęście małżeńskie, uosobione w pani Helenie, hulakę Waclawa zamienia w zupełnego męża i pantofla, a czas i dobry przykład, zaprowadzają Wicka przed ołtarz z panną Zofią Zabawniczką, młodą gąsiatką, nastrojenem idealystycznie i deklamującym Asnyka. Wszystko się dobrze kończy, gdy się w kościele kończy. W tych ciężkich dla życia i dla sztuki czasach, dobrze jest choćby i takie marzenia urzeczywistniać — w życiu i w sztuce.

Właściwie tylko tożsamość osób nowej komedii i dawnej ustala pomiędzy niemi przedmiotową łączność; jednoś procesu psychologicznego utknęła w owej przerwie, która znajduje się poza sztuką i domysłami tylko wypełnioną być-by mogła, gdyby kto chciał nierachować się z przyszłością: „Nie starczy skórka za wyprawę.“ Łatwo było autorowi pokazać Wacka już zagniecionego na ciasto; ale przyjemniej byłoby słuchaczowi widzieć go zacieranego dopiero pięknymi rączkami, które na kłajstrowate natury, szlachetkie, nie potrzebują nawet pazurków, aby swą siłę skutecznie objawić. Złote serca przed ślubem zamieniają się po ślubie w gliniane charaktery: Nieodstępna pewność siebie, buta, harde poczucie nietykalkości, nawet wobec najrozumniejszych wpływów powlekają je pozłotą rzeczywistości siły, na rozumie i miłości dobra opartej, a rzeń wszelkiego charakteru stanowiącej; ale to tylko pozłota: temat równie bujny jak smutny. Dla prawdziwego komedyopisarza, obserwatora, satyryka i moralisty, ten przełom z hultaja w porządnego człowieka, ta przemiana znaku dodatniego na znak ujemny przed wiekuistym, tak czy owak, zerem, to miażdżenie samowoli męskiej przez samowolę kobiecą, to zabijanie wraz z hulaszcznością i samej energii — cały ten los młodzieńca wyleczonego z urwisowstwa na to, aby go czemprędzej dotknęła zaraza małości duchowej, daleko był bardziej zajmującym, ponętniejszym, niż resztki figłów pana Wicka, przygody restauracyjne

w Łowiczu, gotowa już potulność pana Wacka i blade, bardzo blade, zalecanki do Zosi. Więcej było ponęty, ale i więcej trudu, wyższy obowiązek posiadania rzeczywistego talentu dramatycznego. Niepotrzeba mówić, dla czego p. Przybylski ponęty takiej nie uległ.

Trudno! Od autorów dramatycznych niezawsze wymagać można dramatycznych zdolności; dość, gdy mają ogólnie literackie, gdy umieją jakotako składnie napisać, gdy z gramatyką nie idą do rozvodu, gdy złożą dowody pewnej potoczności czy płynności pióra, gdy umieją jeszcze podchwycić charakterystyczne rysy zjawisk w człowieku zbiorowym, gdy urozmaicą wysłowienie, stosując je do samych charakterów, gdy wogóle trzymają się na pewnym poziomie tego, co koniecznie zrobić potrzeba, aby mieć prawo do afisa teatralnego. Prawdziwa dramaturgia jest darem rzadkim, nawet w najwyższej, wytrzymałością swoją nieśmiertelnej, arystokracji geniuszów. Nieskończenie łatwiej być pisarzem dramatycznym, niż dramaturgiem, — jak nieskończenie łatwiej być pisarzem historycznym, niż historykiem; pisarzem filozoficznym, niż filozofem; wreszcie wierszopisem, niż poetą. A z tą poezją ciężka sprawa na scenie. Jedni jej nie mają wcale w sobie, inni ją lekceważą; są wreszcie i tacy, którzy się jej lękają. Tych ostatnich strachem prawdziwym przejmują doktryny, — wygłaszane przez dzisiejszą krytykę, która od samej literatury twórczej przybiera barwy naturalistyczne i chętnie w nich paraduje. Prawda i życie, życie i prawda! A czyż w życiu i prawdzie niema poezji? Czy wszystko w rzeczywistości jest gorzszym, niż na scenie, czy nie zdarzają się w życiu charaktery i wypadki, o jakich się nie śni dramatopisarzom, czczącym niybyto prawdę, ale jedną tylko prawdę, z pominięciem drugiej? Poezja w dramacie ma swoje własne królestwo i w jego granicach jest poezją tego światłocienia myślowego, jakim uderza wyobraźnią wola człowieka, ukazująca się w oświetleniu pobudek, do nieskończoności różniczkować się zdolnych pod względem etyki jednostkowej i zbiorowej. Poezja w dramacie nie może być nawskroś, ani nawet przeważnie, liryczną; myli się jednak ten, kto ją zupełnie z teorii sztuki dramatycznej wyklucza. Co życie daje, to sztuka brać musi, a tylko doktrynerskie głowy mogą niewidzieć w tkalinie życia snującej się złotej nitki tego uczucia, któremu w wyobraźni odpowiada zawsze jakiś ideał, — mniej lub więcej podniosły, ale z istoty swej odmienny od ideałów namiętności lub interesu. Te ostatnie najczęściej bywają potworami: potworów takich mnóstwo natworzyło dzisiejsze komedyopisarstwo, rzeczywiście wszechświatowe, a więc zaraźliwe — francuzkie.

I to nieprawda, iżby komedia pojmująca swe zadanie poważnie, i uważająca się za urodzoną satyrę nie pozwałała na poezję. Właśnie w zgrzyt satyry prawdziwy artysta będzie umiał zawsze wtrącić czysty dźwięk serca, czy to w walce z przeciwnościami, więc dramatyczny, czy bez zewnętrznej starcia, więc liryczny. Komedye Fredry są najlepszym dowodem tego, że można łączyć satyrę z poetycznością, rozumną obserwacją obyczajów z bezwiednym odczuwaniem piękna, złośliwą plastycznością, w jakiej satyra ukazywać zwykła ujemne zjawiska charakterów ludzkich, ze swobodną kochającą prawidłowością, do jakiej mają prawo dodatnie. Tak, poezja i w komedii, i w tej naszej dzisiejszej komedii *della vita*, mieć można; potrzeba tylko, otwierając jej progi sztuki, dbać o to, aby jej nie zawiąły prądy sensualizmu, wpadającego drzwiami i oknami do poświęconego przybytku. Dyamentowe blaski poezji niezawodnie uszlachetniąby sztukę w stosunku do życia, a życie — to przecież morze, do którego wszystko wpływać powinno.

Słuchacz komedii p. Przybylskiego, nawet i niejeden krytyk, ucuwa wrażenie czegoś do poezji podobnego; ale wrażenie to jest tylko złudzeniem, podstawiającem pewien optymizm za poetyczność. A sam ten optymizm jest tylko skutkiem płytkości charakterów dodatnio zabarwionych. Małżeństwo państwa Wacków, jest tak naiwnie szczęśliwym, i tak szczęśliwie naiwnym, że

próżno na jego niebie szukamy tej logicznej chmury, z której wypadł lekki piorunek niezgody małżeńskiej, przez nowy uśmiech słońca rychło w pamięci serc zatarty. Zbyt wielkiego zamachu użył autor, kiedy pani Helenie aż do Łowicza w pogon za mężem pędzić kazał, zbyt wielkim także zamachem rzucił tego męża do stóp położony, — każąc mu się wstydzić, jak żakowi przed belfrem. O co? o wyjazd z bratem na poblizki jarmark? To już zbyt surowa klauzura, zbyt wielkie szczęście małżeńskie, zbyt sielankowa miłość, a zanadto dziecinne jeszcze unysły. Wielką jest wprawdzie miłości potęgą, w miódowych, i w późniejszych miesiacach, a im dusze miększe, tem i miłość ich topliwsza, zwłaszcza w małżeństwie; ale zjawiska tak generyczne, jak podboje męzczyzn przez kobiety, potrzeba w ich typowej przedstawiać postaci, aby dramatycznemi być mogły.

Nie krzywdząc p. Przybylskiego, powiedzieć można, iż ciąg drugi jego dyalogii mniej jest wart od pierwszego. W *Wicku i Wacku* były wprawdzie takie niezręczności, jak owo przeciwstawienie wykształconego lotra dwóm pocziwym głupcom i sowizdrzałom; ale i budowa sama odznaczała się większą składnością i obfitością szczegółów i charaktery wzbudzały większe zajęcie, chociaż nad prawdziwie artystycznym ich ocaleniem autor nie chciał sobie łamać głowy. W *Państwu Wackach* rzeczywiście nic niema, prócz sceny nieporozumienia między mężem a żoną w akcie III. Na tym akcie mogła się być bezpiecznie skończyć cała komedia, a raczej wszystkie termide, w obręcze niby komedii ujęte. Do napisania aktu IV potrzebował p. Przybylski takiego talentu, z jakim nieodżałowany, i jako człowiek, i jako pisarz, Narzyski napisał swój IV akt *Pozitywnych*. Autor nowej komedii dał nam tylko banalne opracowanie banalnego tematu, że rodzice nie lepsi byli od dzieci i nieinaczej sobie w sprawach miłości poczynali. Gdy temat taki nazywamy banalnym, winniśmy p. Przybylskiemu kilka słów wyjaśnienia. W komedii przedewszystkiem nie poszukujemy nadzwyczajności; ale umiemy odróżnić motywa bardziej pospolite, od tych, które ze względu na czas, do którego należą, posiadają więcej świeżości. Wiemy przecież z długiego już dochożenia praw sztuki dramatycznej, że niema tak banalnego tematu; kłóregoby nowa, oryginalna siła nowym, oryginalnym uczynić nie zdołała. Do literatury twórczej przedewszystkiem stosuje się przysłowie, w potocznym życiu często powtarzane o kucharzu i podeszwie. Wszystko się da smacznie przyrządzić, byle tylko umieć, a umienia w mniejszej tylko części nauczyć się można; większą potrzeba już w sobie samym przynieść. Imię jej talent, to magiczne *coś*, które tylko dziecinnie — pozytywne estetyka kusi się ująć i wcielić w kształty niewzruszonej definicji. Gdyby p. Przybylski tę magiczną niewiadomą posiadał w równaniu swej istoty mielibyśmy po innym *Wacku i Wicku* innych też *Państwu Wacków*. Komedją ani jednej, ani drugiej sztuki nazwać niepodobna. Są to sobie wesołe głupstwa, pohulanki, utwory pióra, nie umysłu i wyobraźni, dla których pióro jest tylko narzędziem. Ani w literaturze, ani w teatrze nie zostawia one po sobie świetniejszej smugi. Publiczność się śmieje — powie może autor, powie niejedyn czytelnik; ale argumentem takim nie radziłbym wojować: nigdzie się tak ludzie na całe gardło nie śmieją, jak w cyrku.

Wielce pospolite są sceny w restauracji łowickiej. Powtórzenie efektu z ojcem nie dowodzi wielkiej pomysłowości. Takich Zabawnickich, Zoś, Mizdrzalskich, czy Mizdrzyckich, całemi tuzinami natrzasać można z drzewa potocznej dramaturgii. Stara panna i rezydent zawiele miejsca zajmują, nie mając do tego prawa oryginalnością swoją, jakimkolwiek odrzynającym się na ogólnem tle natury ludzkiej, indywidualizmem. Z papieru już teraz takie figury wycinać można, i zdaje się, że nie innej metody do wytworzenia swoich użył p. Przybylski. Wyżej już zwróciłem uwagę na to, co powinno być wystąpić w dalszym ciągu pierwszej komedii, jako panujący temat w stosunku psychologicznym pana Wacka do pani Wackowej. Takiego samego tematu szu-

kaliśmy daremnie około postaci Wicka. Było wcale wdzięcznym zadaniem dla prawdziwego talentu przedstawienie tej pochyłości, po której nieprzeżarty jeszcze wisus stoczył się w ramiona czystej, rzetelnej miłości. Więcej byłoby to przyniosło pożytku komedii, niż śmieszności wyprawiane ze starą panną, obrazki restauracyjne lub przez patrony malowane, rozwiązanie sztuki w akcie IV. Gdyby mi z całej komedii wybrać nakazano moment najlepszy, nie wahałbym się wskazać tej chwili w akcie III, kiedy po droczeniu się wzajemnem, a studenckiej brawurze i studenckiej nieśmiałości pana domu i obywatela, para gołąbków gruchających rwie nagle nie gniewu wzajemnym okrzykiem, po którym następuje — oczywiście, miła pieszczota z pocałunków i uścisków. Sprawia to bardzomiłe wrażenie i dramatycznie dobrze się wypukła.

Co więcej jeszcze powiedzieć? Czy powtarzać radę udzieloną p. Przybylskiemu po *Wicku i Wacku*; czy spodziewać się, że ją przyswoi sobie i pójdzie za nią? Na rozstaju jest jeszcze ciągle to pióro: naprawo człowiek w nieprzeliczonych swoich odmianach, oko artystyczne do chwytania a pracownia rozumu i wyobraźni do przetwarzania ich w sobie — nalewo papier, kałamarz, afisz teatralny i publiczność poklaskująca lekkiem, lekkiej myśli i lekkiej ręki, utworem. Szczęśliwy, kto jeszcze wybierać może.

Wszyscy trzej panowie Klepaccy, ojciec i synowie, mieli w *Państwu Wackach* tychsamych przedstawicieli, co w *Wicku i Wacku*, i nie potrzeba dodawać, że powinni im być wdzięcznymi za to przedstawienie. Tylko gra pp. Ostrowskiego, Szymanowskiego i Wolskiego podtrzymuje sztukę, która bez tych artystów runąć-by musiała, *pomimo* małej wartości swojej, a dużego szczęścia samego autora. Nie pojmujemy tylko: dlaczego taki wytrawny artysta, jak p. Ostrowski, zgodził się na to, aby w akcie I przez blisko pięć minut gnać ciągle krok w krok za niespokojną panią Heleną Klepacką, swą synową (panna Ozaki)? Jestto niesmaczna przesada. Mówili ciśnie się okrzyk: „A kiedyż przestaniecie?“ Potrzeba to współchodzenie gwałtowne obciąć. Pannie Ozaki nie można odmówić wejścia w rolę i dobrego jej oddania. Oczywiście, nie była to pani Popiel-Swiećka; ale tak dawno już niewidzianej „Popielce“ nie łatwo jest dorównać. Panna Sznage w roli Zosi nie umie jeszcze ani grać, ani deklamować; ale ponieważ „Kraaków nieodrazu zbudowano,“ a jest i miły głos, i ładna twarzyczka, i postawa, i wzrost, i młodość i, jak widać z oczu, nie brakuje także inteligencji — w przymierzu zatem z czasem, który jest dla wszystkich, i z pracowitością, którą już potrzeba mieć umyślnie dla siebie, można będzie zdobyć artystyzm, jeśli niewybitny, to przynajmniej konieczny na scenie. Jak zawsze, wyborynym, mężem drżącym przed żoną, mężem safandulą i ograniczoną małością, mającą przeciw swoje słabostki i grzeszki — był p. Sikorski.

Stanisław Krzemiński.

Wiadomości literackie i naukowe.

4. Księgarnia Gubrynówicza i Schmidta wydała świeżo *Poezye J. I. Kraszewskiego*, duży tom in 8 o minori (str. VI, 342 i 3 str. spisu oznaczone 251—3; Lwów, 1888; druk Wł. L. Ancyca i Sp. w Krakowie). Za życia jeszcze pragnął się doczekać Kraszewski nowego, zupełniejszego od poprzednich, wydania swych poezyi. W roku 1883 dostał się w ręce pruskie, nie mógł więc sam zająć się zebraniem drobiazgów rozproszonych po czasopiśmie; zastąpił go p. Władysław Bełza, i on to jest wydawcą literackim pośmiertnego zbioru.

Kraszewski od chwili, kiedy nabrał temperamentu powieściopisarskiego i zadziwiającą swą

twórczość rozwinął, rzadko już brał za pióro czyściej poezyi. *Witoldowe boje*, ostatnie z trylogii *Anafielas*, były też ostatniem jego większem dziełem poetyckim. Potem jeszcze napisał *Wioskę*, a po niej *Hymny boleści*, wyszłe z najpoważniejszego i najgłębszego natchnienia poetyczności osobistej. W okresie działalności publicystycznej i późniejszego pobytu na obczyźnie, pisywał tylko wiersze okolicznościowe i *Starą Basń* śpiewami wzbogacił. *Poeta ciągiem* był w latach swej młodości. Najpierwsza liryka jego ukazała się w powieści *Poeta i świat*. Wydane w r. 1838 w Wilnie w 2 tomikach *Poezye* objęły w tomie I to, co w owych latach, niezależnie od od pracy nad wielką epopeją litewską, w poezyi wierszowanej zdziałał. Ale nie było to jeszcze wszystko; sam autor pominął trzy liryki z pierwszej powieści, która mu zrobiła imię, oraz odprawę daną recenzentom w „Tyg. Pet.“ 1838 r. W r. 1843 wyszło w Warszawie nowe wydanie, również 2-u tomowe i taksamo w tomie II mieszczące dramat historyczny *Halszka*. W tomie I, oprócz dawnych, znalazło się dwanaście nowych utworów czysto lirycznych i opisowych, a z nich pięć na tle przeszłości Litwy, jedno zaś „dzieciństwo“ (późniejsze „drobnostki“) p. t. *Dwie cnoty*, sam autor wycofał z druku. Cały tom I tego drugiego wydania, poprzedzony *Wioską* i *Hymnami boleści*, wszedł do wydania pośmiertnego i ciągnie się do str. 289-ej. Na 290-ej zaczynają się utwory niedrukowane w zbiorach dawniejszych lub też napisane już po r. 1843. Exemplarz, który mamy przed sobą, zapewne nie objął jeszcze wszystkich, a jest tych drobnych pyłków trzydzieści sześć. Z pierwszego okresu życia weszły do wydania p. Betzy trzy owe liryki z *Poety i świata*, odpowiedź recenzentom, dalej *Pieśni, piosenki, piosneczki, Zale i Łzy, Dusza kobiety*, urywek z niedokończonego poematu: *Szatan i kobieta*. Z późniejszych przejętych szczerem uczuciem, zasługują na uwagę: *Wierze*, wiersz albumowy, przepiękne „Znasz-li ten kraj...“ do którego piękniejszą jeszcze melodyą skomponował Moniuszko, wspomnienia rzucone na groby Syrokomi i Jachowicza, *Szopka*, która by się bardzo dobrze przyjęła mogła, taka w niej prostota a dźwięczny ton wierszy ludowych panuje. Kraszewski sam najlepiej określił swą poezją w czterowerszu, z r. 1853, położonym na czele całego zbioru:

„Lepsza pieśni mej połowa
Zawsze w piersi mej się chowa
I zostanie wam tajemną,
I na wieki umrze ze mną.“

Warto poznać tę stronę działalności „Tytana pracy.“ Znajdą się w niej i przedmioty godne zapamiętania choćby drobnostki, jak dwie bajki: *Pan i człowiek, Szuflada i głowa*, znana i śpiewana wszędzie *Dziad i baba*, słiczna liryka *On nie wróci* — obie, dzięki Moniuszce, wielce popularne. Niektóre myśli, jak w ostatniej zwrotce wiersza *Obce kraje*, wyrażono są z mocą axyomatów. Dramat *Halszka* (dzieje Elżbiety, jej matki, Beaty z Kościeleckich, Dymitra i Bazylego Ostrogskich) sam Kraszewski skazał na zapomnienie, jako rzecz słabą; niema go też w tym zbiorze.

P. Bełza nie zebrał jeszcze wszystkich drobiazgów, które Kraszewski w ciągu życia swojego bądź w albumach prywatnych, bądź w wydawnictwach zbiorowych doraźnych i stałych, zamieszczał, a przy zebranych nie zaznaczył tych niezbędnych znamion historyczno-literackich, jakich krytyka wymagać ma prawo. Objasniwszy co znajdowało się już w dwóch poprzednich wydaniach, wypadło przy każdym utworze pierwszy raz książkowionym, wskazać datę napisania lub wydrukowania poraz pierwszy, jakoteż źródło rękopiśmienne lub drukowane, z którego czerpano. P. Bełza obowiązku tego nie spełnił, gdyż niektóre wyjątki nie wchodziły nawet w rachubę. Zapewne przy postanowionem zaniechaniu wskazówek, trud wydawniczy był wielce ułatwionym, ale rzeczy najłatwiejsze nie są przecież najlepszymi na świecie. To lekceważenie obowiązków wydawcy literackiego jaskrawo występuje w po-

wtórzeniu naslepo, bez zastanowienia, zmylonego tytułu jednej z „drobnotek:“ *Monomachia. Wiatry z chmurą*. Nikt tego nie zrozumie, gdyż taki układ wyrazów nie ma żadnego sensu. Rzeczywiście, błąd znajduje się w wydaniu pierwszym z r. 1838, ale nie ma go już w drugim; tam już czytamy: *Monomachia wiatru z chmurą*. P. Belza nie przetłumaczył sobie wyrazu greckiego a nie rozumiejąc znaczenia, i sam się zadowolnił i czytelnikowi kazał być zadowolonym. *Monomachia* (*μονομαχία*) znaczy: bój osobisty, zapasy.—Prze-stankowanie jest wadliwe. Wypadało przytem wprowadzić do zbioru podział racjonalny według rodzajów.

5. Niezły poinyśł księgarski wcielił się w wydawnictwo *Światła i cienie* (str. 268, in 12-o, Warszawa, nakład Nowej Warszawskiej Wspólki Wydawniczej, druk Nasiorowski). Jest to zbiór przedruków, nowel i poezyi „poświęcony Kobiętom Polskim,“ ale poświęcony tak, jak każda książka wchodząca do handlu księgarskiego. *Światła i cienie* nowa spółka wydawnicza dlatego kobietom poświęca, że widzi w kobietach głównych konsumentów literatury nadobnej. Wydawcy wyszli z założenia, że zbierając różnych autorów współczesnych w jedną książkę, ułatwią ich poznanie, a ciekawiając, wytworzą im czytelników. Ażeby nietylko treść, ale i forma była nadobną, ozdobiło książkę 9 ilustracyami, ale ilustracje te nie wyszły dobrze, a sam druk jest wcale nie ładnym. Może być, że mamy tu tylko „trudny początek,“ a dalszy ciąg będzie lepszym. Tym początkiem tłumaczymy sobie i wadliwą korektę, która w sprostowaniach jeszcze błędów się dopuszcza (angielskie *shall = shall, dark = dark*). Prócz błędów „ważniejszych“ sprostowanych, pozostało jeszcze wiele ważniejszych, niesprostowanych.

Za przykładem noworoczników, nakładcy *Światła i cienie* postarali się o to, aby czytelnicy pod każdym tytułem znaleźli własnoręczny podpis autora. Podpisów tych jest dziewiętnaście, z nich sześć pod utworami poetyckimi. Nad wszystkimi panuje Konopnicka wspaniałym wierszem *Na cmentarzu*. Po niej idzie Bożydar z *Córą Grecyi*, poważną a natchnioną. Kazimierz Kaszewski stanął z pięknym przekładem „Chóru Starców“ z *Agamemnona* Eschylosowego. W prozie spotykamy nazwiska: Dygasiński, Marrené, Gawałowicz, Śnieżko-Zapolska, Rawita, Zielińska, młoda kobieta i młode pióro pod kryptonimem *M....a*, próbujące swych sił. Do ilustracji przyłożyli rękę pp. Konopacki, Lenc, Ryszkiewicz, Zamarajew, Znicz, Z. W.

6. *Heinrich Nietzsche als Interpret Mickiewicz'scher Werke. Ein Verzeichniss aller von... verfassten, in Druck erschienenen Uebersetzungen und Analysen, zusammengestellt von Wladyslaw Malukiewicz 1888.* (Gedruckt und verlegt bei Reinhold Kühn d. J. Elbing. str. 25, 16-o). Pomnik to szczerego zamiłowania poezyi mickiewicza przez zacnego Nitschmanna, który nami i literaturą naszą zajmuje się, jak prawdziwy nasz przyjaciel. Spotykamy tu spis alfabetyczny wszystkich tłumaczonych utworów wielkiego poety, wraz ze wskazaniem wydawnictwa, w którym dany przekład pomieszczenie znalazł. Pan Malukiewicz wskazuje nadto tytuły i miejsca dwóch rozprawek Nitschmanna o Mickiewiczu: jednej, dawniejszej, w jego własnej, niemieckiej historii literatury polskiej, drugiej, nowszej, z r. 1885 w *Allg. Oester. Litteraturztg.* Oprócz tej historii Nitschmann wydał zbiór występujący dziś już w czwartym wydaniu, p. t. *Der polnische Parnass ausgewählte Dichtungen der Polen* (Lipsk, Brockhaus, 1875); *Album Ausländischer Dichter* (Gdańsk, Th. Bertling 1868; część czwarta zapelniona poezją polską); *Iris, Dichterstimmen aus Polen* (Lipsk, Friedrich, 1880).—Wydanie spisu pyszne; druk polski w Elblągu stanowi dziś osobiwość; inaczej niegdyś bywało.

Kronika działalności kobiecej.

— Towarzystwo Pań Ś-go Wincentego Wincentego à Paulo, istniejące w Warszawie od lat trzydziestu czterech, przedstawiło na ogólnym zebraniu, odbytem d. 3 Lutego sprawozdanie z rocznych czynności swoich, jak następuje:

Pań składających Towarzystwo jest 113. Z tych czynnych, to jest takich, które odwiedzają ubogich, jest 49, płacących tylko składkę 64. W roku ubiegłym przybyło Towarzystwu pań 15, zmarło 4. Rodzin wspieranych było 673; przestano odwiedzać 416, przyjęto pod opiekę swą nowych 542. Umieszczono w zakładach miłosiernych i oddano do służby osób 209 dorosłych i dzieci. W czasowym przytulku Towarzystwa przebywało dziewcząt 54; z tych oddano rodzinie 12, umieszczono w służbie lub na opiece 18, umarło 2, pozostaje obecnie 22.

Przychód Towarzystwa, powstały z kwest, darów jednorazowych i z procentu od sum legowanych Towarzystwu, wynosił 12,666 rs; remanent z roku przeszłego wynosił 175 rs.; razem więc rozporządzalny kapitał Towarzystwa był: 12,842 rs. Rozchód: na żywność rozdaną w naturze, na ubranie i utrzymanie dzieci w Przytulku Towarzystwa; na utrzymanie Sióstr Miłosierdzia, aptekę, komorne, i wsparcie ubogich w gotówce, wreszcie na środki przysparzające Towarzystwu dochodu, wydano rs. 12,689 pozostało zatem remanentu na rok bieżący 152 rs.

Prezylującą w Towarzystwie jest z hr. Krasin-skich Ludwikowa Górńska, wiceprezylującą Hortensya hr. Małachowska. Cele Towarzystwa znane są ogółowi. Wspierania nędzy, opieka nad chorymi, lub niezdolną radzić sobie starością i młodością niedojrzałą, krzepienie moralności i pomoce dawane jej przez następczanie środków do pracy, zachęta do niej, ditek lub przygarnięcie miłosierne w chwili ciężkiej — oto zadanie towarzystwa. Szpitale bywają nieraz nieuleczalne, które stale miejsca w szpitalach znaleźć nie mogą, jest potrzeba opieki nad dziećmi ludzi chorych, nad sierotami, i tu Siostra Miłosierna, lub pani ze Stowarzyszenia Ś-go Wincentego à Paulo działanie swe rozwija, broniąc od nędzy i upadku.

W roku ubiegłym zmarła ś. p. Józefa Adam-ska, przez lat siedm przełożona nad Centralnym Domem Towarzystwa, której pamięci należy się cześć ogółu.

— Korrespondent „Tygodnia“ Piotrkowskiego, donosi z Dąbrowy Górniczej, że dobry zamiar pań dąbrowskich utworzenia miejscowego Towarzystwa Dobroczyńności, o czym wspominało i pismo nasze,—spełnił na niczem. Dobre chęci albo nie były ogólne, albo były tak słabe, że się cofnęły, gdy je trzeba było czynem stwierdzić. A szkoda, bo w takiej właśnie miejscowości, jak Dąbrowa Górnicza, gdzie praca jest ciężką, gdzie zarobek musi być gorącym oblanym znojem, a nagromadzenie pracującej ludności znaczne, dobroczynność znaleźć się powinna koniecznie, przez uczucie chrześcijańskiej miłości bliźniego działająca.

— Pani Z. mieszkanka Kujaw, zwróciła się do Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu z wnioskiem zakładania na Zachodzie, a mianowicie we Francyi i Angli po miastach fabrycznych i portowych naszych piekarni chleba żytniego, który, jako tańszy a poży-

wny mógłby po pewnym czasie znaleźć sobie tam odbyć. Myślą projektodawczyni jest, że w ten sposób mogłaby się otworzyć droga zbytu dla naszej mąki żytniej, lub żyta w naturze, na które obecnie rolnik nasz kupca nie znajduje i przechodzi ciężki kryzys, na który znikąd ratunku niema.

— Pod prezydencją księżniczki Heleny Sanguszkówny, utworzył się w Krakowie komitet wysylający okazy tamtejszej pracy kobiecej na międzynarodową wystawę tejże pracy w Glasgowie. Zakład przemysłowy panien Karłowskich w Poznaniu wysłała tamże bieliznę i hafty. Wystawa ma swój oddział polski, zostający pod prezydencją ks. Czartoryskiej i innych pań polskich,—jak to pismo nasze doniosło w ostatnim kwartale ubiegłego roku wraz ze szczegółowym adresem.

— W Londynie pochowano z wojskowemi honorami żonę żołnierza, która w walce wojsk angielskich z Boerami niosła pomoc rannym na placu boju. Rodem z północnej Szkocyi, góralka, Joanna Mac Culloch, miała w piersiach gorący patryotyzm szkocki, patryotyzm jakoby swego planu, który się wcielił w pułk, można powiedzieć jej, bo przy boku męża towarzyszyła mu wszędzie.

Był-to drugi pułk Gwardyi Szkockiej i amazonka stała wiernie przy jego chorągwi. Jako wiwandyerka, służyła jej bohaterko, z poświęceniem wielkim, często objeżdżając na małym koniku górskim forpoczty, tak wysunięte na przód, że przy objeździe tym — przy rozwożeniu żołnierzom pożywienia i napoju mogła być wpaść w ręce nieprzyjaciela. Pogrzeb, podjęty kosztem państwa, nastąpił z polecenia królowej Wiktorji, która znała osobiście Joannę Mac Culloch. Umiała ona bardzo niewiele poangielsku, ale królowa mówi poszkocku.

— Zofia Kaulbach, żona sławnego malarza, otrzymała od księcia regenta bawarskiego złoty medal orderu zasługi Korony Bawarskiej, za uratowanie życia ludzkiego z narażeniem własnego. W jesieni ubiegłej skoczyła ona w głębokie jezioro Schliersee i wyratowała tonącego już i przytomność tracącego młodzieńca, przyczem sama ledwo że nie poszła na dno z ciężarem, przechodzącym siły kobiety. Tonący nie był jej znany wcale i widziała tylko—człowieka, który ginął śmiercią ciężką.

— Francuzka Siostra Miłosierdzia, według świata: M-me Filomène Richard, w zakonie „Matka Marya Wirginia“, księni francuzkich Sióstr Miłosierdzia, i zarazem przełożona szpitala wojskowego w Saigon, otrzymała krzyż Legii Honorowej. Oznaka ta—piszą dzienniki francuzkie—tak sponiewierana w dzisiejszej upadłej, zepsutej Francyi, na piersiach Sióstr Miłosierdzia świeci zawsze, jak gwiazda poświęcenia—jak gwiazda cnoty.

— Marya de Planta, filantropka szwajcarska, przebywając w St. Moritz, w dolinie Engadine, zawiązała między szwajcarskimi i innych krajów kobietami, przebywającymi tam dla wpływów wzmacniającego klimatu, stowarzyszenie pod nazwą „La Gerbe“, którego celem jest uprzyśtępnianie nauczycielkom i bonom kuracyi podobnego rodzaju.

— Dwadzieścia siedm kobiet głównie lekarek, należy do towarzystwa missyjnego w Chinach i przebywa stale w Cesarstwie Niebieskiem.

— Rzymskie Towarzystwo Dobroczyńności: „Associazione generale per l'assistenza Publica“ założone od roku, powiększyło się obecnie przez oddział niewieści, do którego przyjmowane być mogą kobiety wszelkich klass towarzyskich pragnące poświęcić się na usługi nietylko miasta, ale całej włoskiej ojczyzny według potrzeby i wskazania przełożonych. Obecnie jest ich dwadzieścia cztery, w wieku poczynając od dwudziestego, do czterdziestego roku życia. Jedna pomiędzy nimi jest młoda wdowa, siedm mężatek, reszta panien a wszystkie zobowiązały się stawić na wezwanie ministra wojny i udać się, gdzie rozkaże, podejmując się pracy, jaka wskazana im

będzie. Gdy te czynnie zajęte zostaną, zbierze się natychmiast drugi komplet tejsze liczby, gotowy również do działania. Jest już zapisanych kobiet wszelkiego stanu od wielkiej pani do prostej wyrobniicy, na sześć takich kompletów. Zowią się one „Siostry Rzymianki.“

— Wobec panującej w Kalabrii gorączki zwaney tam febrą azyatycką, zawiązało się towarzystwo kobiet z najwyższej sfery towarzyskiej, poświęcających się nietylko ratowaniu już chorych, ale takiemu wspomaganiu rodzin ubogich, dostarczaniu im zdrowego pożywienia i odzieży, aby choroba mniej silnie grasować mogła. Działalność ich zwrócona jest głównie na klasy pracujące, ubogie lub mało zamożne i nie cofa się ze wsparciem nawet od rodzin, które uważane są za zubożkie.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Przytułki noclegowe** w Warszawie otwarte w d. 13 Listopada dały schronienie po dzień 10 Lutego 115,138 osobom.

— **Spółka pszczolarska**, mająca zawiązać się w Warszawie, stanie na miejscu upadającego *Muzeum pszczolniczego*, które nieszczęśliwie nie umiało wywiązać się z zadania. Wyszła też świeżo w drugim wydaniu książka p. Kaź. Lewickiego: *Pszczelnictwo*. Książkę tę uznają znawcy za pożyteczną.

— W **Kaliszu** postanowionem zostało założenie bardzo pożytecznej instytucji: kassy zaliczkowej dla rzemieślników i drobnych przemysłowców.

— **Ku uczczeniu pamięci Zygmunta Krasińskiego** odbył się d. 27 Lutego w Krakowie w teatrze miejscowym wieczór, urządzony przez młodzież akademicką. Treść wieczoru była bardzo bogata i urozmaicona. Wygłoszono dwa odczyty z których jeden: „Listy Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej“ przez Akademika Kadena, drugi: „Miłość w poezji Zygmunta Krasińskiego,“ pióra Stanisława Tarnowskiego, lecz autor jakoby dla braku zdrowia, wyręczył się hr. L. Dębickim. Dalej grała Liszta i Szopena p. Jadwiga Iwanowska, Warszawianka, a p. Roman Żelazowski przybył umyślnie ze Lwowa dla wydeklamowania ustępu z „Przedświtu.“ Następnie śpiewała p. Andrzejkiewiczówna, grał dr Bylicki i dyrektor konserwatorium Żeleński. Wieczór zakończyły obrazy z żywych osób, ale odbywało się to wszystko wobec bardzo mało zapelnionej i niemal pustej sali. Już z przedmowy wstępnej p. Graffa, dowiedzieli się obecni, że w urzędzeniu wieczorku nie wszyscy akademicy udział przyjęli, i tak też uczyniła publiczność krakowska, jakkolwiek dochód z wieczoru szedł na pomnik dla poety, mający stanąć w katedrze na Wawelu. Ale sprawa innego pomnika, bardzo drogiego ogółowi, pierwaj podniesiona, i domagająca się też pierwaj wykonania, jeszcze jest w zawieszeniu. Uważano w tem podniesieniu drugiej, jakgdyby niedobre a umyślne oddziaływanie na tamtę. Czy tak jest, czy nie,—należy się niewątpliwie najpierw załatwić z tem, co się już na wokandy narodowej znajduje, a dopiero wyprowadzać na forum rzecz drugą. Biedny poeta! biedny śpiewak *Przedświtu!*... to, co

mu było za życia kamieniem trudności wśród drogi, jeszcze i teraz podnosi się przed cieniem jego.

Odczyt p. Tarnowskiego bardzo jest interesujący, czy mu kto racją przyzna, lub nie. Dowodzi w nim autor, że jakkolwiek miłość Zygmunta dla Delfiny Potockiej silnie i wyraźnie zaznacza się w jego poezjach, wyższą jednak jest miłość do żony, wyrażona w ostatnich, przedśmiertnych już poezjach.

— **Adres do królowej włoskiej**, dziękujący jej za ocalenie od zniszczenia kaplicy Ś-go Stanisława Kostki, został wysłany ze Lwowa w imieniu kobiet wdzięcznych za to. Adres ten ozdobiony herbami rzeźbionymi w srebrze, jest pokryty amarantowym aksamitem. Wręczyć go ma królowej Małgorzacie księżna Ludmiła z Hołyńskich Falconieri Carpegna.

— **Akt kupna Zakopanego** nie został zatwierdzony przez sąd obwodowy Nowego Sącza, z powodu nielegalności samego nabycia, a mianowicie, że do licytacyi stawilo się tylko dwie osoby, gdy prawo chce najmniej trzech, aby licytacya była ważną. Sprawę ma rozstrząsać najwyższy trybunał wiedeński.

— **Ostatni akt okrutnej tragedyi** rozegrał się d. 4 Lutego w Dallford pod Berlinem, w domu obłąkanych, gdzie zmarł nieszczęśliwy poeta-dramaturg, Albert Lindner, srogo doświadczany przez zawody okrutne. Urodzony 1831 r. w Sulza, w Wielkiem Księstwie Wejmarskiem, skończył w Wejmarze naukę szkolną, walcząc z biedą i pracując już, aby mógł żyć i uczyć się. Po skończeniu gimnazjum, przeszedł do uniwersytetu w Jenie, też o własnych siłach, ale te nie chciały mu tu starczyć, a raczej, nie dały zarobić tyle, ile było potrzeba, i młodzieniec musiał studia przerwać. W 1857 roku poświęcił się gubernerce w domu jakiegoś wioskowego szlachcica w Pomeranii, gdzie zostając przez lat trzy, zebrał sobie tyle grosza, że na uniwersytet powrócił, ukończył go i został nauczycielem gimnazjalnym, na którym to urzędzie przeżył względnie szczęśliwie od 1860 do 1866 r., żyjąc w kołach literackich i sam oddając się poezyi, która była zawsze kochanką jego lat młodych i dla której pracował ciężko na uniwersytecie na chleb powszedni. Ale jak wtedy wołał na czas jakiś zawiesić studia, niż jej się wyrzec, tak i teraz wiernym jej został. Już w Jenie napisał pierwszy dramat „Dante Alighieri“ potem na wsi drugi: „William Shakespeare,“ nareszcie tragedya: „Brutus i Collatinus“ których, jednak żadna scena przyjąć nie chciała; aż w roku 1866 na *konkursie Schiller'a* przyznano mu za Brutusa pierwszą nagrodę i następnie tragedya ta grywaną była z wielkiem powodzeniem na rozmaitych scenach niemieckich. Wtedy porzucił nauczycielstwo, oddał się całemu poezyi, napisał znowu dwa dramata, ale względem tych los, a raczej dyrekcye teatrów, nie okazały się laskawemi i znow zaczęła ścigać go bieda, znowu trzeba było zacząć pracować aby żyć; został tedy bibliotekarzem gdzieś w Berlinie, przy jakimś zakładzie rządowym, ale mniej-sce było uciążliwe, bardzo pracowite, więc dla niego, który pisać zawsze pragnął, bez pisania, bez tworzenia wyżyć nie mógł, ciężkie do zniesienia. Aż znowu uśmiechnęła mu się sława, i z nią szczęście. W 1871 roku przyjętą została na scenę i z wielkim rozgłosem grywaną była w Berlinie tragedya jego: „Krwawe wesele.“ Przestawily ją w kolej wszystkie większe sceny niemieckie i teraz powodzenie już było pewne, nie przez żaden autorytet konkursowy, ale przez

wielką, całą narodu jego publiczność ugruntowaną: teraz też zdawał się być podniesionym nad zawody. Znowu wziął dymisya, znow zaczął pisać, napisał trzy dramata: „Marino Fallieri,“ „Don Juan d'Austria,“ „Reformator,“ ale szczęście już odwróciło się od niego odrzucono utwory jego wszędzie, i smutny, zbolały człowiek zaczął pisać prozą, aby żyć; napisał parę tomów nowelek, ale to nie starczyło, ani dla ducha, ani dla ciała i w 1885 roku, biedny, tak ciężko próbowany człowiek zwaryował, aż teraz ot przyszła śmierć i trumna wyniesiona została z domu obłąkanych, gdzie blisko lat trzy przebywał na koscie kilku miłosiernych znajomych dawnych.

— **Odszukanie Stanleya** zostało przedsięwzięte i kosztem państwa Kongo formuje się wyprawa złożona z 808 osób, która puści się za śladami jego w pustynie.

Zbiorowe tanie wydanie

POWIEŚCI HISTORYCZNYCH

JÓZ. IG. KRASZWSKIEGO

zbioru tego wyszedł tom III-ci

i zawiera powieść z IX wieku pod tytułem:

STARA BAŚŃ

tom III. —Następny tom zawierać będzie

powieść p. t.:

LUBONIE,

WARUNKI PRENUMERATY:

Kwartalnie (za 5 tomów)	Rs. 1 kop. 80
„ „ z przesyłką	„ 2 „ 20
Półrocznie (za 10 tomów)	„ 3 „ 60
„ „ z przesyłką	„ 4 „ 40
Rocznie (za 20 tomów)	„ 7 „ 20
„ „ z przesyłką	„ 8 „ 80

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu,“ dla prenumeratorów na prowincyą dołącza się: *Cennik składu nasion* „Estreich i Podbielski.“

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 18-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Umarłej! poeta, przez Antoniego Pileckiego. — Byron, (wspomnienie), (dalszy ciąg). — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Na starym gruncie. powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje Arkusz 18-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford - 22 wzorów nbiorów i robót z opisem. Sekretu gospodarskie. Dyspozycya stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою—Варшава 24 Февраля 1888 года.